



MARIA  
NUROWSKA

---

*Mój przyjaciel*  
**ZDRAJCA**




*Mój przyjaciel*  
**ZDRAJCA**



## MARIA NUROWSKA

Autorka powieści i dramatów. Wydała ponad dwadzieścia książek, m.in. *Postscriptum* (1989, wznowione ostatnio pt. *Wybór Anny*), *Hiszpańskie oczy* (1990), *Listy miłości* (1991), sagę *Panny i wdowy* (1991–1993), *Rosyjskiego kochanka* (1996), *Tango dla trojga* (1997), *Miłośnicę* (1998), *Niemiecki taniec* (2000), trylogię ukraińską – *Imię twoje...* (2003), *Powrót do Lwowa* (2005), *Dwie miłości* (2006), *Sprawę Niny S.* (2009), *Nakarmić wilki* (2010), wspomnienia *Księżyc nad Zakopanem* (2006) i opowieść biograficzną *Anders* (2008). Książki Marii Nurowskiej były wielokrotnie wznawiane. Zostały przetłumaczone na szesnaście języków, w tym chiński i koreański. We Francji i w Niemczech stały się bestsellerami, a w kilku landach trafiły do kanonu lektur szkolnych.



MARIA  
NUROWSKA



*Mój przyjaciel*  
**ZDRAJCA**

Copyright © by Maria Nurowska, 2011  
Wydanie II  
Warszawa 2011

Nazwisko: Kukliński  
Imię: Ryszard  
Urodzony: w Warszawie  
Zawód: zdrajca...

Tak myśli o mnie wielu ludzi w moim kraju. Ale to ciągle jest mój kraj, mimo że dzielą mnie od niego tysiące kilometrów.

Na pewno nie czuję się Amerykaninem, mimo że Ameryka mnie doceniła. Ameryka dała schronienie, mnie i mojej rodzinie, gdy musiałem uciekać przed zemstą systemu, najbardziej zbrodniczego i perfidnego systemu XX wieku. Kiedy to do mnie dotarło, postanowiłem wydać mu wojnę. W pojedynkę, bo jak inaczej – nie miałem ani rakiet, ani żołnierzy. To była szalona myśl, która powstała w mojej głowie wiele lat temu i trwała we mnie do czasu, aż pojawiła się realna szansa, aby przemienić ją w czyn. Opowiem ci o tym, skoro obiecałem. Jesteś pisarką, chcesz potraktować moje życie jako materiał literacki, zgadzam się, ale pod pewnymi warunkami. Opublikujesz powieść dopiero po mojej śmierci. Absolutnie wykluczone! Nawet mnie o to nie proś! Nie zgadzam się na wcześniejsze wydanie. Ależ mam zaufanie do twojego pióra, inaczej nie zapraszałbym cię do Ameryki, nie o to chodzi. Chodzi o to, że nie

chciałbym przeczytać tej książki, bez względu na to, jak zobaczysz moje życie i jak je opiszesz. To twoja sprawa. Chcesz mnie opisać jako zdrajcę, zrób to, chcesz przyznać rację mojej najbardziej dramatycznej decyzji życiowej, będę się tylko cieszył. Gdzieś tam...

Nie, niczego się już nie boję, nawet swojego literackiego wizerunku. O jedno cię tylko proszę, opisz mnie ze wszystkimi moimi ułomnościami i błędami, jakie popełniłem. Chciałbym, aby zapamiętano mnie jako człowieka, a nie jakiegoś Jamesa Bonda o nadludzkich możliwościach. Jesteś zmęczona po podróży, w końcu znalazłaś się na drugiej półkuli, więc zanim wejdziemy na mroczne ścieżki mojego życia, na początek, dla rozweselenia, opowiem ci o mojej przygodzie świeżo upieczonego majora z generałami, która o mało źle się dla mnie nie skończyła. Tutaj kilka słów wstępu. Co jakiś czas odbywały się u nas ćwiczenia, w których brały udział siły radzieckie. Najpierw opracowywano cały scenariusz w ścisłym gronie, potem przydzielano role, oczywiście wszystko w najgłębszej tajemnicy. Lista osób uczestniczących w tym wydarzeniu była dokładnie sprawdzana przez Wojskową Służbę Wewnętrzną i tak dalej. Mnie przypadło w udziale niewdzięczne zadanie dowieszenia polskich generałów na taki pokaz, który miał się odbywać w Czersku na Pomorzu, wiesz mniej więcej, gdzie to jest? Dobrze. Więc nasi generałowie, którzy mieli uczestniczyć w tym ćwiczeniu, którzy mieli je obserwować, mimo że byli najwyższej rangi oficerami, nie wiedzieli, gdzie ani po co

jadą. Ja miałem ich dowieźć autobusem z Drawska Pomorskiego do Czerska...

Wiesz co, tutaj na balkonie jest bardzo przyjemnie, ale jednak wejdźmy do środka, bo może nas ktoś słyszeć. Nie szkodzi, że mówimy po polsku, trzeba uważać. No... to się działo trzydzieści cztery lata temu, pamięć mi, jak widzisz, jeszcze dopisuje, nie jestem takim kościanym dziadkiem, za jakiego mnie pewnie uważasz. Nie uważasz? No cóż, kobiety zawsze mnie lubiły, ale o tym innym razem, teraz wracamy do generałów.

Miałem więc ich dowieźć na ten poligon wojsk lotniczych. Była wtedy śnieżna zima, śnieg padał i padał, do tego jeszcze mróz. Warunki okropne, na drogach zasy, trzeba było użyć pługów śnieżnych, żeby utrować przejazd. Jednostki inżynieryjne miały pracować całą noc, a ja potem miałem przewieźć czterdziestu polskich generałów przez poligon sowiecki Borne-Sulinowo. Ponieważ Rosjanie byli bardzo niechętni do przepuszczania kogokolwiek przez swoje tereny, trzeba było to jakoś dyplomatycznie z nimi rozegrać. W przeddzień całej wyprawy pojechaliśmy z moim szefem do dowódcy sowieckiego garnizonu i zakomunikowaliśmy, że marszałek Greczko będzie tutaj z marszałkiem Spychalskim prowadził ćwiczenia, na które trzeba dowieźć wysokich rangą polskich oficerów. Całą trasę przejazdu pokazałem mu na mapie. Gdyby Rosjanie odmówili, trzeba by było nadłożyć spory kawałek drogi. Ale on podszedł do tego ze zrozumieniem. Powiedział:

nie ma sprawy, zawołał jakichś oficerów. Sądziłem, że najgorsze mam za sobą, jednakże kłopoty zaczęły się już w samym Drawsku, do którego moi podopieczni mieli dojechać własnym transportem. Generałowie zadali mi podstawowe pytanie: „Po co my tu jesteśmy?”. Ja mówię: „Bo taki jest rozkaz”. „Tak, ale gdzie my jedziemy?”. Na co ja: „Nie mam prawa tego ujawniać, wszystko się okaże na miejscu”. Oni poczuli się dotknięci, że zwykły major ma jakieś tajemnice przed wielkimi generałami, dowódcami armii, dowódcami lotnictwa, marynarki. Na dodatek nadeszła wiadomość, że ćwiczenia mają się rozpocząć dwie godziny wcześniej, nie o dziesiątej, ale o ósmej, podobno Greczko wydał takie polecenie. Kiedy oficerowie kładli się spać, wiedzieli, że będą obudzeni o piątej rano, przyjdą na śniadanie o piątej trzydziści, a o godzinie szóstej wyruszymy autobusem w niewiadomym kierunku. I teraz, proszę ja ciebie, kiedy oni położyli się już spać, przyszedł ten rozkaz. Już ich nie budziłem, aby im o tym zakomunikować, tylko zarządziłem pobudkę dwie godziny wcześniej. Musisz wiedzieć, że panowie do późna pili wódkę i grali w karty. Kiedy więc sierżant z WSW przyszedł budzić jednego, drugiego generała, ten patrzy na zegarek. „Jak to, major mówił, że nas obudzą o piątej. Jest trzecia rano!”. Nie chcieli wstawać, ale kazałem ich ściągać za nogi, bo nie miałem innego wyjścia. W kasynie zaczął się atak na mnie, dlaczego zmiana planu. Ja znowu mówię: „Taki dostałem rozkaz”. Napięcie, które od początku się pojawiło pomiędzy całą wierchuszką a mną,

świeżo upieczonym majorem, jeszcze wzrosło. Ale podjedli sobie, dobudzili się, zaczęli się nawet śmiać. Dojeżdżamy do przejazdu, a tu szlaban zamknięty – przetaczają wagony, z prawa na lewo, z lewa na prawo. A ja mam czas wyliczony co do minuty! Biegnę do dróżnika, ten nie chce ze mną gadać. Mówi: „My tu mamy swój rozkład jazdy”. I koniec. Stoimy dieśięć, piętnaście, dwadzieścia minut. Generałowie się denerwują i oczywiście winny jestem ja. Ale był taki fajny generał Ohanowicz. Mówi: „Pójdę, pogadam z tym dróżnikiem”. Ucieszyłem się, z generałem zawsze inaczej się rozmawia. Więc ten Ohanowicz, postawny, z brwiami jak namalowanymi węglem, Cygan z pochodzenia zresztą, poszedł, coś tam interweniuje, a dróżnik swoje: „Muszą wszystkie wagony przetoczyć, bo nie ma żadnej komunikacji z parowozem”. Wreszcie po czterdziestu minutach skończyli te manewry i podnieśli szlaban. Jedziemy. Docieramy do garnizonu sowieckiego, zatrzymują nas! Ja mówię, że chcę rozmawiać z oficerem dyżurnym. Oficera dyżurnego nie ma! Nikt nic nie wie, nie było żadnych poleceń. Perturbacje trwały około godziny, zanim puścili nas przez ten poligon. Komentarz generałów był taki: „No, jak już się Sztab Generalny w coś wtrąci, to robi się straszny bałagan!”. I ja, jako przedstawiciel tego sztabu, zostałem obarczony całą winą.

Jedziemy przez poligon, generałowie są już dobrze podładowani, docieramy do drogi, która miała być oczyszczona przez nasze wojska inżynieryjne. I co się okazuje? Te sukinsyny, Sowietci, oczyści-

li swoją drogę, odgarniając śnieg na naszą stronę. Ściana nie do przebycia, co najmniej na dwa piętra. Klęska straszna. Autobus się zatrzymał, ja mówię do generałów: „Bardzo mi przykro, ale mieliśmy tędy jechać”. „No tak! Sztab Generalny! Co to za major, skąd oni takiego majora wystrasnęli!”. Decyduję się ruszyć drogą na Okonek. Przez Okonek i przez Wałcz też miała być przetarta droga. O tak, pamiętam te nazwy i chyba ich nie zapomnę do samej śmierci! Słuchaj dalej, bo to nie koniec moich klęsk na samym początku kariery w Sztapie Generalnym. Jedziemy na ten Okonek i po dwóch kilometrach bodajże napotyamy nową przeszkodę – pośrodku drogi stoi pług śnieżny. Zepsuty! Przed nim zwały nieodgarniętego śniegu. Co tu robić? Proponuję, aby generałowie pozostali w autobusie, który jest ogrzewany, na zewnątrz zimno jak cholera, a ja rozejrzę się w sytuacji. Stamtąd było już niedaleko do punktu obserwacyjnego, do którego przetarto wąską dróżkę. Rozglądam się i widzę leśniczego, nadjeżdża na motorowerze. Ja do niego: „Panie, pożycz mi ten pojazd, to sprawa gardłowa”. Ten biedak zsiada, bo jakie ma wyjście. Łapię za motorower i kątem oka widzę, jak generałowie wysiadają z autobusu, podwijają poły płaszczy i gęsiego maszerują przez zaspę. Chyba specjalnie, aby mnie pognać! No cóż, wjeżdżam na poligon i widzę kolumnę WSW pilotującą dwóch marszałków w limuzynach. Mówię do tego oficera z WSW: „Dawaj mi te swoje wszystkie gaziki, trzeba przywieźć generałów, którzy tam brodzą w śniegu”. Wysłał po nich półciężarówkę

i kilka samochodów. Ale generałowie odmówili, nie wsiedli, na miejsce dotarli piechotą. Potem, po zakończeniu ćwiczeń, była wspólna kolacja z naszymi sojusznikami. W rozstawionych namiotach stały kotły z bigosem, alkohol lał się strumieniami i, ma się rozumieć, nie był to koniak. Ja też byłem zaproszony do namiotu generalicji, ale jakoś nie miałem ochoty na rozrywki. Byłem zmęczony, chciałem się wypaść. I rozgoryczony też, oczywiście. Przechodząc obok swojego dowódcy, który stał z generałem Molczykiem, chyba najbardziej mi niechętnym z całej „autobusowej wycieczki”, usłyszałem strzęp rozmowy: „Skąd wyście takiego matoła wytrzasnęli?”. „Nie miejcie żalu do majora Kuklińskiego, on tylko wykonywał nasze rozkazy” – padła odpowiedź.

Mój komentarz? Po latach widzę to tak samo jak wtedy... Rozumiesz, trzecia wojna światowa tuż-tuż, najnowocześniejsze rakiety z głowicami nuklearnymi w pogotowiu, a z drugiej strony dróżnik na małej stacyjce przetaczający wagony... to kwintesencja tego systemu, kwintesencja komuny. O nie, to wcale nie było niegroźne, przeciwnie, to było zagrożenie najwyższego stopnia, bo w tym bałaganie ktoś mógł wydać rozkaz, który unicestwiłby cały świat.

Mam nadzieję, że wypoczęłaś po trudach podróży? Może przejdziemy się po mieście? Pokażę ci ścieżki, którymi tu chodziłem. Lubię to miasto, nawet te zmienne temperatury, bo tutaj jest inaczej niż w moim kraju. I nie chcę, żeby było podobnie. Nic nie może mi zastąpić tamtych widoków, tamtego klimatu, tam-

tego surowego morza. Wiesz, że byłem zapalonym żeglarzem? Nawet sam sobie zbudowałem jacht, przy okazji ci o tym opowiem. A ty zadawaj mi ostre pytania, nie bój się mnie. Skoro zdecydowałem się na tę spowiedź, niech będzie prawdziwa. Być może staniesz się moim jedynym konfesjonałem. Dlaczego wybrałem ciebie? Przecież to ty wybrałaś mnie!

Wczoraj przy kolacji zadałaś mi pytanie, na które teraz chciałem ci odpowiedzieć. Moi przeciwnicy krzyczą: „Skoro był taki święty, dlaczego wstąpił do komunistycznego wojska?”. Przepraszam bardzo, w czterdziestym siódmym roku nie było komunistycznej armii, nawet działalność partii w wojsku była zakazana, nielegalna, tak, tak, moja droga. Była tam mieszanina prostych żołnierzy, których wyciągnięto z Kazachstanu, gdzieś tam z różnych zakątków Związku Radzieckiego, kadrę oficerską stanowili głównie Sowieci. Oficerów polskich było niewiele, bo oni wyszli z armią Andersa, ale zaczęli się powoli odnajdywać... poza tymi w Katyniu, oczywiście. Powtarzam, w czterdziestym siódmym roku system komunistyczny nie był jeszcze w Polsce ustanowiony. Ja straciłem w Warszawie wszystko – ojca, dom, nie wiedziałem, co się dzieje z matką, potem dopiero się odnaleźliśmy. Ale w Warszawie, póki co, nie miałem czego szukać. Ponieważ Niemcy zniszczyli kamienicę, w której mieszkaliśmy, miałem prawo do otrzymania mieszkania na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Wyjechałem do Wrocławia i tam przypadkowo natknąłem się na plakat zachęcający do wstępowania do wojska, robiono wtedy szeroką

propagandę pod hasłem „otwartych drzwi”, otwartych drzwi do koszar. No i zobaczyłem chłopców w pięknych mundurach, na głowie mieli rogatywki. W tym czasie komendantem szkoły oficerskiej był przedwojenny oficer, który powrócił z Zachodu, tam był tylko podpułkownikiem, tutaj szybko awansował na generała. A więc nie można mówić, że w tamtym czasie wojsko było komunistyczne. Uważałem wtedy, że staniemy na swoich nogach i tych sowieckich oficerów zastąpimy my, młodzi. I z tą myślą zapisałem się do szkoły oficerskiej. Co prawda zdjęli orłowi koronę, ale wszędzie były polskie sztandary. Pamiętaj, armia jest zawsze gwarantem niepodległości państwa. W czasie okupacji nie mieliśmy możliwości noszenia polskich mundurów, kryliśmy się po lasach, w podziemiu. A tutaj masz biało-czerwone flagi, tam gdzieś przemawia polski prezydent, są polskie władze. Oczywiście, widziałem, jak Sowietci nas traktowali, jak plądrowali i wywozili wszystko, ale myślałem sobie, że to się wkrótce skończy.

Pomimo młodego wieku dostałem duże poniemieckie mieszkanie w bardzo dobrym punkcie, przy rynku. Gdybym miał wrotki, mógłbym sobie spokojnie jeździć po nim. Na tym samym piętrze mieszkała rodzina, repatrianci ze Wschodu, matka i pięć córek, najstarsza była w moim wieku, a najmłodsza jeszcze całkiem mała, kilkuletnia. Podczas przypadkowych spotkań na schodach grzecznie się im kłaniałem, ale one były jakieś wystraszone, a kiedy do nich zagadywałem, odwracały głowy, jakby z mojej strony mogło im coś zagrażać. W końcu mnie to zezłościło